Świat powieściowy.

Nr. 149 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

# Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

XII.

Mijały tygodnie i miesiące całe, a zima srożyła się dalej, trzymając naturę w niewoli, spowitą masami śniegu, okutą lodów kajdanami. Góry były z częsta zupełnie niedostępnemi, zsyłając dolinie od czasu do czasu straszliwe orkany i lawiny, które nie mało szkody mieszkańcom wyrządzały. Ludność biedniejsza wielce na tem cierpiała, a szczególnie w dobrach Werdenfelsa zapanował głód niemal i nędza wszelaka. Nieboszczyk ordynat nie troszczył się wcale ludem wiejskim, a syn jego po kilku niefortunnych próbach, doświadczywszy, jak jego chęci najlepsze są źle przyjmowane, zamknął się szczelnie w murach Felsenecku, zapomniawszy w ogóle, że jest jakiś świat, na którym ludzie żyją i cierpią.

Teraz wracał wprawdzie co dni kilka do ponurego gniazda, na szczytach skał zawieszonego, główną jednak siedzibą jego było Werdenfels, gdzie nawet mniej ściśle przestrzegano systemu unikania ludzi, niż w zamku Felseneck.

Paweł na wyraźne stryja żądanie pooddawał wizyty w sąsiedztwie, i nawzajem licznie odwidzano Werdenfels. Każdy spieszył zaciekawiony, jak też wygląda ów odludek, o którym tak potworne wieści obiegają, nikt jednak z gości nie ujrzał jego oblicza. Rajmund zupełnie się nie pokazywał, zdawszy na Pawła obowiązki gospodarza. Ludzie na wsi widywali go częściej, gdy jechał lub wracał z Felseneck, a czasem i konno przez wieś przejeżdżał. Nie był również dla swoich oficjalistów tak nieprzystępnym, rozmawiał z nimi i odbierał osobiście od nich raporta. Chciał widocznie przyzwyczajać się powoli do stosunków z ludźmi, od czego odwykł przez lat tyle.

Apartament Rajmunda w zamku Werdenfels, oddzielał od pokoi, przez ojca jego zamieszkiwanych, duży salon, który był używany do przyjmowania mniej licznych gości. Urządzenie tak salonu jak i pokoi przyległych, było o wiele weselsze, niż komnaty ponure w Felseneck. Olbrzymie okna weneckie z szybami źwierciadlanemi, oświetlały pokoje dostatecznie, a na głównej ścianie, w Rajmunda pracowni, wisiał portret ojca wielkości naturalnej, w świetle najlepszem, oddany tak znakomicie przez jednego z najlepszych malarzy, iż zdawał się z ram wychodzić.

W dużem krześle poręczowem siedział baron Rajmund przed kominkiem, słuchając raportu rządcy głównego. Paweł, który był tylko co nadszedł, stał obok stryja, rozmową wielce zaciekawiony. Ordynat zwrócił się do bratanka, chcąc mu sprawę całą objaśnić.

— Mówiliśmy właśnie o groblach, niesłychanie co prawda kosztownych, do których jednak wziąć się na serjo myślimy. Zamek i ogrody są doskonale zaopatrzone, wieś atoli, w razie powodzi, mogłaby paść ofiarą żywiołu straszliwego. Przeszłej jesieni, rzeka rozhulawszy się niezwykle, dała nam już jakby małe ostrzeżenie, iż dowierzać jej nie można. Tym razem łąki tylko nadbrzeżne zalała, kto wie jednak, czy znowu z brzegów wystąpiwszy, nie zagroziłaby i bliższym domostwom. Podałem już gromadzie na piśmie propozycję, iż koszta wszelkie biorę na siebie i zaraz mimo mrozów każę zwozić kamień, oraz ziemię na wały, aby powódź wiosenna, której można się łatwo spodziewać przy tak wielkiej śniegów obfitości w tym roku, nie zastała nas tak zupełnie nieprzygotowanych. Skoro cieplej się zrobi, rozpoczną się na dobre roboty około murów ochronnych, tak samo jak od strony parku, żelazem i cementem spajanych.

Rajmund mówił żywo, zajęty szczerze sprawą tak wielkiej doniosłości, czego najlepszym dowodem były rysunki i kosztorysy przed nim na stoliku rozłożone. I Paweł wziął do ręki jeden z tych rysunków, przypatrując mu się z najwyższem zainteresowaniem kwestją tak ważną. Obydwaj panowie wzrokiem w planach i rysunkach utonąwszy, nie zauważyli dziwnego rządcy pomięszania, który z nogi na nogę przestępując i kilka razy z naciskiem odchrząknąwszy, zdecydował się wreszcie przemówić z pewnem wahaniem:

— Rokowania atoli w tej sprawie, jaśnie panie, nie są jeszcze skończone... Stanęły na przeszkodzie trudności rozmaite... niespodziewane.. które...

— Trudności? — Rajmund powtórzył, wpatrując się w rządcę ze zdziwieniem. — Myślę, iż rzecz całą przedstawiłem jasno i dobitnie. Płacę wszystko z własnej kieszeni, nie stawiając naodwrót ani jednego wa-

runku, gromadę obciążającego. Wręczyłeś pan pismo odnośne komu należy?

— Przed tygodniem, jaśnie panie! Ot, i dzisiaj był u mnie pisarz gminny, ale cóż na to poradzić... gromada nie chce przyjąć daru ofiarowanego!...

Paweł skoczył w górę w najwyższym stopniu oburzony.

Rajmund siedział dalej spokojnie, ale twarz mu bladość śmiertelna powlekła.

— Nie przyjmują? — spytał głucho. — Z jakiego powodu?

— Proboszcz Wilmut chce podać prośbę do ministerjum, i spodziewa się jak najlepszego powodzenia. Liczą na pomoc rządu, co do kosztów pieniężnych; robót około grobli budowania, gromada sama się podejmuje.

— Czy ci ludzie zdrowych zmysłów pozbawieni?! — Paweł wybuchnął gwałtownie. — Wiecznie skarżą się i na ubóstwo narzekają, a gdy tak niezasłużenie spada na nich najwyższe dobrodziejstwo, nie tylko zabezpieczające na przyszłość ich mienie, ale dające im przez kilka miesięcy łatwy zarobek, odtrącają to dobrodziejstwo zuchwale! Ależ to istne szaleństwo!

— Nie! — Rajmund rzekł sucho — to tylko jeden dowód więcej, iż wpływ Wilmuta przeważa nawet wrodzone u chłopa zamiłowanie do pieniędzy! Chcą więc udać się do rządu? Choćby co i uzyskali, potrwa to latami, a każdej wiosny grozi wsi całej wodą zalanie. Czy starałeś się pan to jasno gromadzie wytłumaczyć?

— Tłumaczyłem jaśnie panie, przedstawiałem! ale obstają przy swojem, powiadają, iż...

— No cóż? Kończ tylko śmiało panie Feldberg!

— Iż nie chcą i nie potrzebują jałmużny, zrobią sami co uznają za konieczne, i po tem oświadczeniu papier mi oddali.

Wyjął arkusz zapisany z zanadrza, wręczając go baronowi. Rajmund wziął ręką drżącą nerwowo, nie rzuciwszy okiem na pismo, ze spokojem na pozór niewzruszonym.

— Niechże więc wszystko idzie dawnym trybem — przemówił po chwili. — Odłóż Pawle na bok te rysunki... słyszysz przecie, że na nic się nie przydadzą. Idźmy dalej panie Feldberg... Czyś wypłacił zapomogę roczną, przeznaczoną dla rodziny po zmarłym w Werdenfels nauczycielu?

W rysach rządcy odbił się ten sam wyraz co przedtem wahania i zaniepokojenia.

— Jeszcze nie jaśnie panie!... Czekałem co do tych pieniędzy na dalsze rozkazy jaśnie pana... Rodzina owa nie zdaje się już pomocy potrzebować...

— Wspomniałeś mi pan przecie, iż tak wdowa jak i dzieci są w nędzy, prawie bez sposobu do życia?

— Tak było rzeczywiście po nagłej śmierci męża i ojca, ale teraz wdał się w tę sprawę ksiądz Wilmut i chce sam się postarać o środki utrzymania, aby...

— Pomoc z ręki mojej okazała się zbyteczną! — Rajmund uzupełnił. — Mogłem się naprzód tego domyśleć! I wdowa ma się rozumieć, nie chce przyjąć zapomogi jej udzielonej?

Feldberg ściągnął w milczeniu ramionami.

Ordynat zmiął kurczowo papier, który dotąd z ręki nie był wypuścił.

— Dobrze! Pieniądze poszlesz pan do Buchdorf. Jest to już własność mojego bratanka, może zatem wolno mi będzie tam przynajmniej wspierać biednych. Gdyby i tam pieniędzy nieprzyjęto, doniesiesz mi pan o tem natychmiast.

Skinął ręką na znak, że konferencja skończona, rządca jednak nie ruszał się z miejsca.

— Mam jeszcze coś jaśnie panu zameldować — rzekł głosem drżącym. — Lękam się, że tem sprawię wielką przykrość... ale prędzej czy później, jaśnie pan musiał by się o tem dowiedzieć... Cedr najwyższy padł dziś rano...

Teraz i Rajmund zerwał się na równe nogi, wpatrując się ponuro i badawczo w mówiącego.

— Jakże to się stać mogło? Nie było wcale burzy tej nocy, a cedr zresztą od stu lat przeszło opierał się wichrom najgwałtowniejszym! W tem musi być jakaś inna przyczyna!

— Jest, i nawet bardzo fatalna! — rządca potrząsł głową miłosiernie. — Pień w nocy podpiłowano, a do dnia pierwszy najlżejszy powiew wiatru drzewo przewrócił.

Źrenice ordynata błysnęły dziko, gniewem i boleścią tłumioną. Widocznem było, iż ta wiadomość i jego do głębi poruszyła, mimo lodowatej obojętności, w którą się był uzbroił. Ani słowem się jednak nie odezwał.

Paweł natomiast zawołał rozpaczliwie:

— Ależ to swawola i niegodziwość niepraktykowana! Cudowny cedr libański, sławny w całej okolicy! ozdoba najpiękniejsza! pielęgnowany najstaranniej od pra-pra-dziada! Rajmundzie, tej zbrodni nie możesz przecie płazem puścić! Cedr był twojem drzewem ulubionem, wiem o tem doskonale!

— Dlatego właśnie musiał zginąć! — Rajmund uśmiechnął się gorzko. — Dowiedzieli się zapewne, iż był mnie miłym!... Ale pozwólmy dokończyć Feldbergowi...

— Kilku czyn spełnić musiało — rządca sprawozdanie uzupełnił. — Po śniegu łatwo wpaść na trop i dojść, z których chat wyszli złoczyńcy. Jeżeli jaśnie pan rozkaże, można śledztwo natychmiast...

— Nie! — wpadł mu w słowo Rajmund. — Nie chcę nic odkryć, coby mnię zmusiło żądać ukarania winowajców! Śledztwa nie rozpoczynać!

— Nie pojmuję twojej pobłażliwości! — mruknął Paweł niechętnie.

Rządca atoli wolniej odetchnął. Rozkaz ordynata sprawił mu najwidoczniej prawdziwą przyjemność, i zdjął ciężki kamień z serca. Skłonił się nisko i znikł za drzwiami.

Rajmund postąpił ku oknu i czoło rozpalone do szyby przycisnął. Przez kilka minut wpatrywał się w niego Paweł badawczo, przerwał nareszcie głuche milczenie, i zbliżywszy się do niego, rzekł tonem błagalnym:

— Rajmundzie! Wróćmy do Felseneck!

— A to dla czego?

— Bo wyczerpią się wreszcie siły twoje w tej nieustannej walce ze złośliwością i nikczemnością! z tym pyszałkiem w sutannie, który wszystkich przeciw tobie podjudza! Nie tai się z tem zupełnie, iż formalną obławę przeciw tobie urządził. Twoje dobrodziejstwa odtrącają ze wstrętem i szyderstwem, przeciw zamysłom najwznioślejszym i najpożyteczniejszym stawiają zapory nieprzezwyciężone, a jeżeli dowiedzą się przypadkiem, iż coś w szczególności ukochałeś, niszczą to zdradziecko! Jesteś bezbronny w obec łotrów, którzy działają podstępnie, krytym sztychem, robiąc w nocy na dobro twoje zasadzki. Byłbym od dawna uciekł ztąd, a ty, któryś lat tyle ludzi unikał, wytrzymujesz tak cierpliwie, przez tyle miesięcy, ciągłe, nikczemne napaści!

— Bo dałem sobie słowo, iż tym razem z placu boju nie ustąpię! O! wiedziałem aż nadto dobrze, co znaczy walka z Jerzym Wilmutem!

— Gdybym tak mógł tego proboszczunia w moje ręce dostać! — krzyknął Paweł w wściekłym gniewie. — Spytałbym się go, jakim sposobem upadł nasz cedr przepyszny!

Rajmund potrząsł głową przecząco.

— Nie Pawle, posądzasz Wilmuta niesprawiedliwie. Jest to wróg zacięty, nieubłagany, działa jednak z ctwartą przyłbicą. Taka zemsta podstępna, nikczemna, nie licuje z jego naturą. O cedra podrąbaniu nie wiedział z pewnością!

— Pozwolę sobie wątpić o tem! Czyż nazwiesz może otwartem działaniem, iż pozwala puszczać w kurs o tobie bajki najpotworniejsze? Chłopi wierzą w niego jak w Boga, jedno słówko z ust księdza wystarczyłoby na wykorzenienie przesądów i zabobonów niedorzecznych, które złączyły się ściśle z twoją osobą. Ale on słowa tego nie chce wypowiedzieć i z krwią zimną do tego dopuszcza, żeby ludzie na wsi, uważali cię niemal za szatana wcielonego! Ten nasz ludek jest jeszcze tak głupi, tak ciemny i zabobonny, iż wstydzić się trzeba, żeby coś podobnego działo się w Europie, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia!

Twarz młodzieńca pałała namiętnem oburzeniem, które istotnie do głębi serca odczuwał. Owa lodowata obojętność i sztywność, jaka zrazu między nim a stryjem panowała, zniknęła od dawna; stał odważnie po stronie Rajmunda, występując śmiało i bezwzględnie w obronie ordynata, skoro się do tego sposobność nadarzała. I Rajmund czuł jaką podporą jest dla niego bratanek, którego osądził z początku dość lekceważąco, jako wisusa bardzo napozór miłego, ale niepoprawnego w lekkomyślności i roztrzepaństwie. W kółku swoich przyjaciół w Wenecji był Paweł takim istotnie, nie widząc przed sobą celów wyższych; wśród teraźniejszych atoli stosunków, w obec grożącego niebezpieczeństwa, rycerskość i szlachetność wrodzona, coraz więcej na jaw wychodziły. W pierwszej linji, co prawda, miłość do Anny natchnęła go myślami poważniejszemi, wytykając mu cel wyższy w życiu, niż samo używanie roskoszy zmysłowych. Wpływ uczucia idealnego był nawet tutaj zbawiennym, chociaż żadnej nadziei biedny chłopiec do niego wiązać nie mógł. Miłość prawdziwa, choć nie odpłacona wzajemnością, podniosła młodzieńca w jego własnych oczach, odrywając serce jego od chuci i rozpusty upadlającej.

— Tylko nie unoś się zbytecznie — wtrącił Rajmund tonem przestrogi przyjacielskiej — i strzeż się wszelkich kroków zaczepnych. Tu nie walczyć samemu, ale wytrwać na stanowisku potrzeba. Ciężkie to zadanie dla takiego jak ty gorąco kąpanego! Jedź do stolicy, proszę cię o to usilnie! Dla ciebie te stosunki o wiele przykrzejsze niż dla mnie, który miałem czas już oswoić się z niemi.

— Wiesz dobrze, że cię w takiem położeniu nie opuszczę! — Paweł rzekł z wymówką. — Nie wypędzisz mnie przecie gwałtem z domu?!

— Nie — Rajmund uśmiechnął się boleśnie. — Zostań więc, skoro tak chcesz koniecznie, ale wolałbym, żebyś był gdziekolwiek indziej, byle nie tu w Werdenfels!

Paweł zbył ostatnie słowa milczeniem.

— Wyjeżdżasz konno? — zapytał. — Słyszałem jakeś kazał osiodłać Emira. Pozwolisz mi przecie pojechać z tobą w towarzystwie?

— Po cóż to? Troszczysz się najniepotrzebniej w świecie! Dotąd nie atakowali mnie w sposób skrytobójczy!

— Któż i za to ręczyć może?! Łotry zdolni są i do zbrodni! Pozwól mi być przy tobie... stawię się punktualnie na godzinę oznaczoną.

Rajmund nie sprzeciwiał się dłużej, i młody człowiek wyszedł, aby się do przejażdżki przygotować. Dopiero gdy zobaczył się samotnym, zrzucił Rajmund z twarzy maskę pozornej obojętności i nieczułości. Słowo z ust jego nie wyszło, ale tychże ust drganie kurczowe, pierś gwałtownie podnosząca się i opadająca, jakby tchu złapać nie mogła, wszystko świadczyło wymownie ile cierpi, jak dotkliwie czuje napaści niesprawiedliwe, które znosi dzień po dniu, od tylu miesięcy!

Jerzy Wilmut słowa dotrzymał. Skoro rzucił zarzewie, płomienie buchnęły na całej linji przeciw dumnemu, który śmiał jemu stawić czoło, jego wyzywać do walki! Była to atoli walka nierówna, jak słusznie Paweł utrzymywał, w obec której Rajmund był zupełnie bezbronny. Nikt jawnie, dotykalnie przeciw niemu nie wystąpił, ale całe Werdenfels było w zmowie przeciw jednemu. Despotyzm księdza nigdy jeszcze nie wystąpił tak jaskrawo, nigdy jego potęga tak wielką się nie okazała. Rzucił formalną klątwę na barona, wy-

kluczył go ze społeczeństwa wiernych, a parafianie przyjmowali z czcią każde słowo pasterza swojego, jakby do nich przez usta tegoż sam Bóg przemawiał. Nienawiść dotąd drzemiąca na dnie serc i umysłów, niby jakaś ponura i straszliwa legenda, na nowo teraz wybuchnęła z siłą przerażającą, wydając gorżkie owoce zemsty dzikiej, roznosząc w koło wyklętego zniszczenie.

Zastanowili się wprawdzie niektórzy, gdy ordynat spróbował w różnych wypadkach odegrać rolę Opatrzności dobroczynnej, gdy hojną ręką ofiarował wszelką pomoc, gdziekolwiek głód i nędza o nią wołały. Krótko jednak trwało wahanie, wszyscy jednomyślnie odepchnęli dary ordynata. Może nie jeden czynił to z bolem serca, nie śmiał jednak płynąć przeciw prądowi ogólnemu. Raz tylko wieśniacy w Werdenfels nie posłuchali ślepo, bez namysłu, rozkazu księdza Wilmuta, gdy szło o tamy ochronne przeciw straszliwemu, nie dającemu się niczem okiełzać i zneutralizować żywiołowi wodnemu. Od dawna mieszkańcy wsi czuli instynktowo, jak im takie tamy są niezbędne, ociągali się jednak z roku na rok, obliczając koszta olbrzymie, które by coś podobnego za sobą pociągnęło. Teraz znajdywał się taki, który chciał im uczynić dar tak wspaniały.

Po raz pierwszy podniosły się głosy utrzymujące, iż zkądkolwiek pomoc przychodzi, w naglącej potrzebie przyjąć takową wypada. Po raz pierwszy przyszło do walki stronnictw w gromadzie, idącej dotąd ślepo. jak trzoda potulnych baranków, za wolą wszechwładną proboszcza. Wkrótce jednak pokonał i najkrnąbrniejszych ksiądz Wilmut, perswadując, iż jałmużny barona nie potrzebują, iż rząd to uczynić musi i uczyni niezawodnie, a kroki energiczne, które natychmiast poczynił, przekonały i najmniej wiernych, iż ich proboszcz, jak zawsze, wpadł na pomysł najświetniejszy... Ofiarę barona odrzucono jednogłośnie!

Rajmund stanął przed ojca wizerunkiem, a oczy mu coraz bardziej i bardziej mgłą zachodziły, gdy wpatrywał się w te rysy. W nim, to święte imię „ojciec“, nie wywołało w sercu uczuć rzewnych, które zwykły wspomnieniu o rodzicach towarzyszyć; w jego pamięci budziły się tylko przykre wspomnienia lat dziecięcych i pierwszej młodości, spędzonej samotnie, w ciężkiem jarzmie, pod dłonią żelazną srogiego tyrana, bez promyka jaśniejszego, bez jednej chwili, spędzonej wolno i swobodnie! Nadszedł czas wygnania, kiedy to syn z pod dachu siedziby odwiecznej rodu Werdenfelsów, uciekał jakby gnany przez furje piekielne, jakby na tym zamku spoczęło straszliwe przekleństwo, kiedy nawet rozkaz ojca surowy nie mógł go w Werdenfels dłużej niż dni kilka zatrzymać. Nakoniec nastąpiła nieszczęśliwa katastrofa, która ujawniła żal i gorycz od dawna w sercu młodzieńca nagromadzoną. Rajmund nie zaparł się miłości i wyboru swojego w obec ojca, naglącego do innego małżeństwa, duma zaś nieugięta pierwszego w kraju magnata nie mogła dopuścić do mezaljansu jedynaka z prostą mieszczanką. Wtedy nastąpiło zupełne zerwanie, Rajmund odjechał z ojca obietnicą, iż go wydziedziczy, zapomni, że miał kiedyś syna, niegodnego potomka wielkiego rodu Werdenfelsów, aby wrócić wkrótce jako ordynat i dziedzic dóbr rozległych. Nie przyniosło mu jednak szczęścia to panowanie!

Nieboszczyk ordynat musiał jeszcze i w wieku późniejszym, być w całem tego słowa znaczeniu mężczyzną pięknym i okazałym, czego portret dowodził. Rysy były posągowo regularne, ale wcale sympatji nie wzbudzające. Wyraz fizjonomji był ostry, wzrok ponury, postawa cała oddychała niemal dumą i srogością. Duże, siwe oczy, z płótna jeszcze zdawały się patrzeć zimno i drwiąco na „niepoprawionego marzyciela“ — jak go zwykle ojciec nazywał, — łając i złorzecząc syna „czułostkowości śmiesznej i dziecinnej!“ a nie chciał nigdy uznać, iż jego to właśnie tyranja odebrała synowi wszelką swobodę i wesołość młodocianą.

I nieboszczyka nienawidzili, i przeciw niemu próbowali buntować się i występować nieprzyjaźnie, on atoli nic sobie z motłochu nie robiąc, tak bez miłosierdzia karał i deptał każdego, który ośmielił się stanąć do walki z panem na Werdenfelsie, iż wreszcie nikt przeciw niemu głowy podnieść się nie odważył. Uśmiech sarkastyczny na wizerunku, około ust bladych i wąskich igrający, zdawał się mówić synowi: — „Ja umiałem sobie dać radę z podłym motłochem! Wszystko to u nóg moich w prochu się tarzało! Ciebie szaleńcze! który starasz się o ich miłość i pojednanie.. ciebie na śmierć zamęczą!“

Usta zadrgały kurczowo Rajmundowi, jakby istotnie słyszał te słowa. Niestety, główną spuścizną po ojcu, była nienawiść i chęć zemsty, głęboko zakorzeniona, a syna życie całe było wiecznem z tą nieszczęsną spuścizną bojowaniem. Raz już złamany i śmiertelnie walką znużony, dał za wygranę i zamknął się w Felseneck, unosząc z sobą w góry niedostępne ból srogi i przekleństwo ludzi, niczem zmazać i przebłagać się nie dające. Głos, któremu dotąd oprzeć się nie umiał, wyrwał go z samotności i w nową walkę zaplątał. Podjął więc po raz drugi to borykanie się rozpaczliwe z przeszłością... Grzechy ojca mściły się dziś na synu!

## XIII.

Na probostwie w Werdenfels zebrała się cała gromadzka starszyzna. Po rozmowie ostatecznej z rządcą, przyszli oświadczyć najpokorniej księdzu Wilmutowi, iż rozkaz wypełnili, oświadczenie pisane dziedzica wręczając nazad panu Feldbergowi. Był pomiędzy nimi i człowiek obcy zupełnie, doskonały inżynier z miasta stołecznego, którego baron Rajmund umyślnie sprowadził, i który od dwóch tygodni zajmował się planami, rysunkami i kosztorysem owych robót około rzeki łożyska, mających się z wiosną rozpocząć. Usłyszawszy, iż plan cały ma spełznąć na niczem, uszom własnym wierzyć nie chciał.

*

— Przychodzę osobiście do księdza proboszcza — zaczął na wstępie — o potwierdzenie, a raczej zaprzeczenie dziwnej pogłosce, w którą w żaden sposób uwierzyć nie mogę. Młodszy pan baron oświadczył mi w imieniu ordynata, iż czynność moja skończona, a roboty rozpoczęte wstrzymują się na czas nieograniczony, ponieważ gromada sprzeciwia się murowaniu tam ochronnych i wałów sypaniu. Musiało tu chyba zajść jakieś nieporozumienie, inaczej niepodobna sobie wytłumaczyć coś takiego...

Inżynier mówił tonem wielce rozdrażnionym, za to tem spokojniej brzmiała księdza odpowiedź:

— Mocno żałuję, ale muszę panu w zupełności potwierdzić wieść obiegającą. Gromada odrzuciła propozycję barona Rajmunda jednogłośnie, po namyśle dostatecznym. Ma do tego powody aż nadto ważne.

— Powody, które gromadę skłaniają oddać wieś całą na pastwę żywiołowi niszczącemu?!

— Wieś nie będzie niczemu na pastwę rzucona... pomoc mamy z innej strony przyobiecaną. Rząd w to się wdać musi i rokowania w tej sprawie, które trwają już czas dłuższy, są właśnie na ukończeniu.

Inżynier wzruszył ramionami.

— Życzę nie liczyć zanadto na podobne obiecanki! Znam się dobrze z procedurą rządową w takich wypadkach. Ma się niesłychane trudności do przezwyciężenia, i w razie najpomyślniejszym decyzja ostateczna zapada po długich miesiącach, a nawet latach, z znacznem ma się rozumieć przyczynieniem samej gromady, tak w robotach, jak i w kosztów ponoszeniu.

— Gromada jest zupełnie na tę ewentualność przygotowana i może kosztom podołać — Wilmut spojrzał na wieśniaków, którzy jakby na komendę głowami kiwali potwierdzająco. — Sam podanie wypracowałem i jadę w tych dniach do stolicy, aby wyrok przyspieszyć. O to głównie idzie, bo w zasadzie prawo gromady do pomocy rządowej uznano i przyznano.

— Szczęśliwego zatem powodzenia! — inżynier uśmiechnął się złośliwie — i jak najmniej niemiłych zawodów! Gdy atoli dojdzie do sfer rządowych, iż dar iście królewski, który pan na Werdenfelsie ofiarował gromadzie tak wspaniałomyślnie i bez żadnych warunków, został lekkomyślnie i zuchwale odtrącony, nie wiem, czy to sprawie dopomoże i czy rząd zechce w czemkolwiek dopomódz ludziom zdrowych zmysłów pozbawionym! Darujcie księże proboszczu, ale ja na miejscu rządu tak bym postąpił.

Inżynier mówił ostro, prawie w uniesieniu, co jednak bynajmniej księdza nie poruszyło.

— Pan nie znasz tutejszych stosunków — rzekł lodowato — nie możesz zatem sądu w tej sprawie wydawać. Jeszcze raz powtarzam, iż rzeczy tak stoją między dziedzicem a gromadą, że o przyjęciu barona propozycji mowy być nie mogło! Jest to sprawa natury ściśle prywatnej, o którą władze rządowe bynajmniej się troszczyć nie powinny. Otrzymałem zresztą pewną wiadomość, iż wyrok dla nas pomyślny jeszcze w tym roku zapadnie.

— A tymczasem przyjdzie wiosna i jesień, grożąc wsi zatopieniem!

— Przez lat dwadzieścia, strzegła wieś od nieszczęścia ręka Opatrzności, potrafi ją ustrzedz i nadal. Przed tak bliskiem niebezpieczeństwem jak powódź wiosenna i tak niby już zachować nie mogło innego, prócz łaski Bożej, boć robót w zimie rozpocząć niepodobna!

— Przepraszam! — wtrącił szorstko inżynier. — Mieliśmy właśnie wziąć się natychmiast mimo mrozów do sypania wałów z kamieni i gliny, dającej się łatwo i w stanie zamarznięcia rozbić oskardami. Później wzięlibyśmy się byli do murów ochronnych. Chodziło głównie baronowi o zarobek dla ludzi w tej biedzie i głodzie ogólnym, który wyniknął z tak ciężkiej i długiej zimy. Postawił mi baron jako pierwszy warunek, żeby do robót używać tylko ludzi z jego dóbr, płacąc każdemu sowicie, bez względu na koszta. Ładnie mu za te chęci najlepsze, wywdzięczyła się gromada!

Wilmut czoło groźnie zmarszczył, zanim jednak zdobył się na odpowiedź, wystąpił Rajner, który jako bogacz największy, był także między starszyzną i przemówił tonem zuchwałym:

— To rzecz nasza i nikomu się w to mięszać nie wolno! Nasz proboszcz dobrze panu powiedział, że w naszej wsi zachodzą stosunki niezwykłe i jak zawsze tak i tutaj święte słowa jego! Nic nie chcemy i nic nie przyjmiemy od Werdenfelsa!

— Tak! tak! Nie chcemy niczego od barona! Nasz proboszcz słusznie mówi! Będziemy się rządu trzymali! — reszta wieśniaków zgodnym chórem się odezwała.

Inżynier spojrzał w koło, po twarzach chmurnych, z wzrokiem pełnym groźby złowrogiej i chwycił za kapelusz.

— Ha! nie mam zatem co dłużej tutaj robić! Próbujcie szczęścia u rządu! Wspomniecie jeszcze słowa moje, gdy łudząc was obiecankami czas jakiś, odpalą wreszcie całkowicie! Dla sfer rządowych, jedna wioska to ziarnko piasku na brzegu morskim! Nie chcę być prorokiem, ale myślę, iż jeszcze kiedyś gromada będzie ciężko żałowała, dzisiejszego swojego zaślepienia!

Skłonił się lekko księdzu i wyszedł w najwyższem oburzeniu.

Słowa jego ostatnie, z taką pewnością i naciskiem wymówione, wywarły jednak wielkie wrażenie na wieśniaków. Zmięszani patrzyli jedni na drugich i zaczęli szeptać między sobą niespokojnie; jeden Wilmut pozostał niewzruszonym.

Oddał ukłon inżynierowi grzecznie, ale z wielką powagą i zwrócił się do gromady, mówiąc powoli i z namaszczeniem:

— Sprawę waszą poleciłem specjalnie jego ekscelencji księdzu biskupowi, który mnie łaską swoją zaszczyca. Obiecał mi solennie użyć całego wpływu swo-

jego — a słowo jego znaczy wiele w sferach rządowych — aby dla was decyzję pomyślną uzyskać. Przedłożę mu ustnie powody, dla których gromada daru z ręki ordynata przyjąć nie mogła i wiem naprzód, że biskup uzna ich ważność i doniosłość faktu oceni należycie. Macie jednak dość jeszcze czasu i możecie namyśleć się inaczej. Baron przyjmie najchętniej wasze tłumaczenie i zrzuci wszystko na karb chwilowego nieporozumienia. Nie chcę w niczem was wstrzymywać, ani odradzać, żebyście potem nie żałowali i na mnie nie narzekali. Czyńcież jak wam rozum i sumienie dyktuje!

Wzrok tryumfujący, którym się w kółko obejrzał, dowodził aż nadto, jak jest pewnym zwycięstwa i jak zna swoich parafian!

Wszyscy też jednogłośnie oświadczyli, iż nie potrzebują ani jednej chwili do namysłu, skoro proboszcz chce się zająć ich sprawą i takową poleca w dodatku samemu biskupowi! Jakżeby mogło tak potężne wstawienie się za nimi, skutku pomyślnego nie osiągnąć!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

# Pożyczana mama.

## NOWELLA.

(Dokończenie.)

W kilka dni później było kółko „najserdeczniejszych“ u hrabiny Laury na objedzie. Wieczorem wybierano się do teatru na *Julję* Feuillet'a. Dramat to, pod względem etycznym, sensu najmniejszego nie mający. Uczciwa żona i najlepsza matka przez lat szesnaście, gdy mąż jeszcze na lat dwa jej córkę, dorosłą prawie oddaje na pensję do klasztoru, rzuca się ni z tąd ni z owąd w objęcia kochanka i gubi się samochcąc, aby potem, strawiona niewczesnemi wyrzutami sumienia, konać z gracją na scenie. Nie mniej jednak dramat ten, póki go się słucha, działa na nerwy niesłychanie, szczególniej, gdy taka artystka jak p. Hofmann w roli tytułowej występuje. Zanim towarzystwo rozeszło się po objedzie, książe skorzystał z chwilki, kiedy hrabina jakieś rozkazy wydawała na boku Mateuszowi, szybko do niej przystąpił i szepnął z naciskiem:

— Czy wolno mi będzie jutro przed południem widzieć się sam na sam z panną Heleną?

Hrabinie aż tchu zabrakło z wielkiej radości. Z uśmiechem najsłodszym głową skinęła potwierdzająco, a gdy usta otwierała, książe cichuteńko dokończył:

— Dzięki stokrotne! Ale niech to do jutra zostanie między nami!

W teatrze Hela ze zwykłą u niej dziecięcą naiwnością, oddawała się gwałtownym wrażeniom i spłakała się na dobre. Z oczami w łzie skąpanemi i z główką smętnie na bok przechyloną, wydała się piękniejszą niż kiedykolwiek księciu Arturowi, ona jednak była wyłącznie Wacławem zajętą, ciągle jego o coś pytała, dzieląc się z nim każdem wrażeniem odniesionem. Książe miął z wściekłością w pięści zaciśniętej rękawiczkę i mierzył wzrokiem groźnym przeszkadzającego mu natrętnika. Nie uszło to uwadze hrabiny. Strwożona, zaniepokojona, upuściła wachlarz w stronę syna, a gdy schylił się po niego, przytrzymała go za rękę i szepnęła na ucho:

— Zmiłuj się! zostaw Helę księciu... Ma prawo żądać tego od ciebie!

Wacław podniósł się cały krwią oblany.... zapewne w skutek pochylenia dłuższego. Zamilkł wprawdzie na resztę wieczoru i usunąwszy się w głąb loży, wolne pole księciu zostawił, na wychodnem jednak znowu o prośbie matki zapomniał i podał ramię Heli. Gdy szybko ją prowadząc, oddalił się na kilka kroków od hrabiny, która szła trochę wolniej z księciem pod ramię, utkwił wzrok badawczy w jej piękne, czarne oczy i spytał głosem stłumionym:

— Matka mi przed chwilą wielką nowinę zwiastowała... Czy mam istotnie pani złożyć moje najpowinniejsze życzenia?

Hela drgnęła i zbladła śmiertelnie, wpatrując się w niego z trwogą i najwyższem zdziwieniem.

— Nie rozumiem pana! — szepnęła.

Na dłuższe tłumaczenie czasu nie mieli, gdyż właśnie nadeszła z księciem hrabina, nagląc do powrotu.

W powozie obie milczały. Gdy atoli znalazły się w cieplutkim saloniku, a hrabina w szlafroczku, w wygodnym fotelu, zwolna herbatę popijała:

— Dziecię drogie! — rzekła czule do Heli — zaspiewaj mi co na dobranoc... Kto wie, czy długo jeszcze będę głosu twojego pięknego słuchała!

— Oczy mnie bardzo bolą — Hela szepnęła. — Chyba jedną z naszych ruskich dumek na pamięć zaspiewam.

Otworzyła fortepian, a za chwilę płynął rzewnie falą całą po salonie jej alt prześliczny, tonem skargi bolesnej:

„Moja maty, worożbytka,
„Meni worożyła,
„Nelub doniu newirnoho,
„Bo budesz tużyła.

„A ja sobi zanechała
„Matusinu wolu,
Teper muszu narikaty
„Na neszczasnu dolu.

„Teper muszu narikaty
„Na neszczasnu dolu,
„Łyszyłam sia bez mýłoho,
„Jak byłyna w polu.

„Oj tiażkoż to byłynońci,
„Jak sońce ne hrije,
„Tak i meni bez mýłoho,
„Aż mi serce mlije!

Ucichł spiew, niby w łzie gorżkiej skąpany. Hela siedziała czas jakiś nieruchoma, z wzrokiem błędnym, ścigającym w dali jakby obrazy wysnute własnej fantazji, aż wreszcie z jękiem zerwała się na nogi...

Okok salonu drzwi skrzypnęły... to Wacław, jak wszedł był, tak i wysunął się przez żadną z pań niedostrzeżony.

— Jakaż smutna nuta tej pieśni! — hrabina wtrąciła z pewną niechęcią. — A i słowa, choć nie całkiem ich treść rozumiem, nie wydają mi się stosownemi dla szczęśliwej narzeczonej... Musiałaś dziecię zauważyć dziś po objedzie moją z księciem Arturem rozmowę. Prosił mnie o pozwolenie widzenia się z tobą jutro rano sam na sam... wystąpi niezawodnie z deklaracją.

— Błagam cię pani! nie wspominaj mi o księciu! — Hela gwałtownie wybuchnęła. — Samo jego nazwisko wstręt we mnie budzi!

Hrabina drgnęła, jakby nią podrzuciła iskra elektryczna i o mało ze strachu filiżanki z rąk nie wypuściła.

— Wstręt budzi w tobie? Ale dla czegoż przez miłosierdzie Boże?!

Nie było na to odpowiedzi, tylko Hela mięła kurczowo w ręce zaciśniętej chusteczkę batystową.

— Cóż ci złego zrobił, że go tak nienawidzisz?

— Ależ nic! nic wcale!

— W ogóle co spotkało cię dzisiaj i od kogo, żeś taka dziwnie rozstrojona?

— Nic mi nie jest, tylko nie chcę więcej słyszeć o księciu Arturze!

Hrabina na chwilę oniemiała z wielkiego oburzenia.

— Jakto? — gniewnie zawołała. — Więc jeżeli ci się jutro oświadczy, nie przyjmiesz jego ręki?

— Czyż dla tego, że książe raczy zniżyć się aż do mnie — zaśmiała się z goryczą — mam kłamać uczucie i gwałt zadać sercu własnemu?

— Chcesz więc takie szczęście zdeptać nogami?

— A jeżeli ja w tym związku widzę przeciwnie nędzę moralną i niedolę?

— Helo! Tyś chyba zdrowych zmysłów pozbawiona! Trafia ci się najświetniejsza partja w kraju, człowiek, o którego dobijały się nasze najpierwsze magnatki, a tybyś śmiała rękę jego odrzucić?

Hrabina może pierwszy raz w życiu z gniewu niemal od przytomności odchodziła, Hela zaś najspokojniej bawiła się pięknym wachlarzem z szyldkretu, który przegrał do niej Wacław, o coś się założywszy.

— Czy pani wspominałaś swojemu synowi o domniemanych księcia oświadczynach? — spytała po chwili głosem stłumionym.

— Musiałam, widząc, iż na złość księciu, którego ani wiem za co Wacław tak nie cierpi, przeszkadza mu ciągle w loży i nie daje wcale przystąpić do ciebie. Książe prosił mnie wprawdzie do jutra o tajemnicę, ale nie mogłam inaczej uczynić. Helo! dziecię drogie — wyciągnęła do dzieweczki dłonie, złożone jak do modlitwy — powiedz, żeś tylko żartowała... chciałaś podroczyć się ze mną.

Hela wachlarz na fortepian rzuciła, jakby się zmienił nagle w żelazo rozpalone, a przyciskając głowę oburącz, szepnęła głucho:

— Więc pani mi radzisz na serjo, abym przyjęła i zaślubiła księcia Artura?

— Ma się rozumieć, dziecię kochane! Nie masz wyobrażenia o jego wpływach, świetnem stanowisku, o majątku miljonowym, przecudownych zamkach i pałacach...

— Oh! wiem, wiem, iż dość posiada, aby mnię kupić!

— Kupić! kupić! Jak ty się dziwnie wyrażasz! Zupełnie jak Wacław, gdy jest w jednej ze swoich „czarnych godzin!“

— Czyż nie byłabym w własnem przekonaniu kupionym towarem, idąc za człowieka bez miłości, nawet bez szacunku, dla tego tylko, że bogaty, umitrowany i ma pałace?!

— Eh! Miłość znajdzie się później! I tak w małżeństwie nie zwykła trwać długo! Płomienie namiętne prędko gasną, a potem do końca życia tleje zaledwie słaba iskierka przyjaźni w stygnącym popiele. Czemuż od razu nie zacząć od tego?...

Hela główką wstrząsła energicznie.

— Zresztą, pomyśl tylko o twojem położeniu—hrabina straciła resztę cierpliwości i teraz mówiła z bezwzględną, niemal brutalną otwartością. — Córka awanturnika, panienka uboga, bez nazwiska i stanowiska, gorzej nawet, bo nosząca nazwisko człowieka zhańbionego, dziś wyzutego...

Nie dała jej Hela dokończyć, dotknięta do głębi:

— Dosyć tego pani! aż nadto wiele!—rzekła drżąc cała z okiem pioruny ciskającem. — Proszę oszczędzić mi tej boleści przynajmniej, ażebym była zmuszoną słyszeć o ojcu rodzonym słowa podobne! Jutro zamieniam z księciem pierścionki.

Oddaliła się szybko z salonu, zostawiając hrabinę dziwnie zaniepokojoną, mimo, iż pozornie tryumf odniosła i złamała opór pupilki. A nuż by istotnie czuła się później Hela nieszczęśliwą i jej wiecznie niedolę swoją wyrzucała?!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nazajutrz zrana wszelkie jednak chmury pierzchnęły, i hrabina obudziła się w różowym humorze, wyobrażając sobie zdziwienie wszystkich, na wieść o Heli z księciem zaręczynach, i ciesząc się naprzód złością pani Kunegundy, gdy jej oznajmi osobiście, z miną tryumfującą, coś tak niesłychanego.

W stroju eleganckim, zastosowanym do spodziewanej w dniu tym chwili uroczystej, zasiadła do biurka i zaczęła właśnie kreślić te wyrazy:

„Najdroższa moja Fruziu!

„Z sercem radością przepełnionem, siadam pisać do ciebie i donoszę...“

Wtem drzwi się otworzyły i Wacław stanął na progu.

— No, powinszuj mi synu kochany! — rzuciła się ku niemu rozpromieniona. — W tej chwili właśnie rozmawia książe w salonie z Helą i wyjdą ztamtąd jako para narzeczonych!

— Sprawdziły się zatem twoje przypuszczenia?

— Ależ wczoraj wiedziałam już na pewno! Tylko wyobraź sobie, jaką miałam wczoraj scenę z Helą. W jakimś przystępie szalonej egzaltacji, oświadczyła mi zrazu kategorycznie, iż księcia nie cierpi, i w życiu jego żoną nie będzie. Przyznam ci się, iż mnie niemal do wściekłości głupstwem swojem doprowadziła. Wycięłam też pannie porządną reprymendę, powiedziałam słów kilka gorżkiej prawdy, ale poskutkowało przecież lekarstwo heroiczne, i zrozumiała, że rekuza dana księciu, byłaby z jej strony więcej jak szaleństwem nawet!

— Boże wielki! Cóżeś mama uczyniła?!

— To, co uważałam za moją świętą powinność!— hrabina z dumą się wyprostowała. — Wybiłam dziewczynie z głowy mrzonki niedorzeczne, i obecnie dała już zapewne księciu stanowcze przyrzeczenie.

— Gwałtem więc zmusiłaś ją do tego. O! niech ci to Bóg matko przebaczy... ja nie mogę!

Hrabina zbladła śmiertelnie.

— Waciu! synu! Co mówisz?... Przecież ty nie mogłeś się w Heli zakochać!...

— Jakaż nieszczęsna ślepota oczy ci matko zasłoniła? Pokochałem ją nad życie, nad wszystko!... Przez ciebie szczęście moje na wieki zniszczone!

Matka biedna skamieniała. Ona sprawczynią jego niedoli!... Ona, która dla jedynaka, gotową była krew własną wytoczyć do kropli ostatniej! Czyż mógł ją spotkać cios straszniejszy? Nienawidziła sama siebie i czyniła sobie w duchu najsroższe wymówki. Ale jak tu teraz naprawić krzywdę synowi wyrządzoną?...

— Synu, dziecię najukochańsze! — głucho jęknęła— przebacz! powiedz co mam zrobić, a wszystko uczynię!

— Nic, nic, matko! Już przeminęło. Kobieta, która jest w stanie sprzedać się za tytuł, za pieniądze, która kłamie bezczelnie, mówiąc, że kocha, gdy w sercu wstręt czuje, która gotowa popełnić krzywoprzysięstwo, nie jest więcej warta mojej miłości, wyrzucę ją z serca, choćby z bolu pęknąć miało!

— Zważ tylko, że ona nie chciała... długo, bardzo długo, opierała się moim namowom...

— Gdyby mnie była szczerze kochała — usta Wacława zadrgały kurczowo — byłaby z pewnością nie ustąpiła, choćby świat cały sprzysiągł się, aby nas rozłączyć! Zostaw mnie mamo!... potrzebuję być sam... z moją boleścią!

Z jękiem, twarz dłońmi zakrywając, upadł na fotel bezwładnie; hrabina po cichu wysunęła się z budoaru na korytarz.

— Boże! Boże! jakże ciężko mnie karzesz! — myślała idąc zwolna ku drzwiom salonu. — Pocóż targnęłam się ręką świętokradzką na uczucia najświętsze tej biednej dziewczyny! Nie wiedziałam nieszczęsna, iż raniąc ją śmiertelnie, przebijam i serce syna jedynego!... Rany Chrystusowe! A to co takiego?!

Tem czemś, uderzającem nagle o hrabinę na samym prawie progu od salonu, że o mało nie wywrócili się nawzajem, był po prostu książe Artur, jak indor czerwony, kipiący gniewem, dyszący złością bezsilną. W swojej zaciekłości nawet nie przeprosił hrabiny, dotknął zaledwie kapelusza i jak warjat zleciał ze schodów.

Uczucie nieokreślone, dziwna mięszanina radości i przerażenia, wątpliwości i budzących się w sercu macierzyńskiem słodkich nadziei, na wkróś hrabinę przeniknęło. Weszła czemprędzej do salonu.

Na środku, oparta o drzewo palmowe, około którego zieleniał klomb cały roślin egzotycznych, stała Hela biała i martwa na pozór, niby posąg z marmuru.

— Odmówiłaś księciu? — hrabina od progu zawołała.

Podniosła z dumą jasne czoło.

— Bóg świadkiem! — rzekła głucho — żem chciała spełnić rozkaz twój pani i dotrzymać danego ci przyrzeczenia... było to jednak nad moje siły!... Powiedziałam księciu, że wziąłby ciało bez duszy... że zupełna obojętność złą byłaby nagrodą, za jego chęci wspaniałomyślne, za miłość, którą raczył mnie mimo mej woli obdarzyć... A teraz, pozwól mi pani wrócić natychmiast w moje góry ukochane... Ani chwili dłużej nie chcę łaski twojej nadużywać!

Hrabina za całą odpowiedź porwała Helę w ramiona, okrywając namiętnemi pocałunkami, ku wielkiemu tejże zdziwieniu.

— Dzieki niebu! Dzięki stokrotne, moje dziecię najdroższe! Odmówiłaś księciu, bo — tylko mi wyznaj szczerze — bo kochasz innego?

— Pani hrabino! Bóg tylko i matka rodzona mają prawo żądać, żeby przed nimi otwierać serc naszych tajemnice!

— No! i matce męża przyszłego, to prawo po trochę przysłuża! Czego tak drżysz dziecię? Kochasz mego syna i on cię nawzajem ubóstwia. Wszystko zatem w porządku... chodź niech cię raz jeszcze uściskam.

Hela łzami zalana, rzuciła się do nóg hrabiny, u których znalazł się i Wacław jednocześnie.

Gdy powstali przez matkę pobłogosławieni, Wacław prędko pocałunkami łzy osuszył, i na bladą twarzyczkę wywołał żywy rumieniec szczęścia i dziewiczej wstydliwości, ustępującej z pewnem wahaniem przed uczuciem namiętnem a dotąd nieznanem, kobiety całem sercem kochającej!

— Mój czysty aniele! moja śliczna dzika różyczko! — szeptał jej do uszka młodzian upojony. — Przebyłaś szczęśliwie próbę ogniową, nie olśnił cię blichtr światowy! nie omyliłem się, ciebie jedną, jedyną, sercem całem ukochawszy. Tyś moją, moją na wieki!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Wacław z Helą żyją już z sobą od lat kilku, w zgodzie i szczęściu niczem nie zamąconem. Hrabina cieszy się z nimi pospołu, i teraz zobojętniała na wszystko inne, nie złączone ściśle z jej dziećmi, nawet na złośliwe pociski jej „najserdeczniejszej przyjaciółki“ pani Kunegundy. W dzień ślubu atoli pięknej, młodej pary, przysięgła, że więcej nikomu nie będzie matkowała i przyrzeczenia święcie dotrzymuje.

Z *pożyczanej mamy*, pełnej zalet i gorliwości, stała się niezrównaną i najlepszą „babunią.“ Tak zaszczytnego awansu życzymy z serca wszystkim „mamom“, boć uczucie babki dla wnucząt, to wyskok podwójny, rafinowany. miłości macierzyńskiej, to godność najwyższa, jaką Bóg w łasce swojej może kobietę udarować.

KONIEC.

*Alfa.*

---

# NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Że uniosła z sobą część jakąś jego, i to najlepszą, było niewątpliwem. Czuł próżnię w mózgu, w owej komórce zakrytej, tajemniczej, dokąd dążą westchnienia rozmarzone i widzenia magnetycznie odrzute. Właśnie, aby tę próżnię zapełnić, uległ stryja namowom przyjacielskim.

Istotnie — musiał to sam przyznać — Matylda była śliczną... tylko nie była wcale dzieckiem, którem ją mieć chciano, i była to dla niego nader niemiła niespodzianka, gdy zobaczył ją obok nieodstępnej guwernantki, miss Ellen, sztywną, czerwieniejącą się co chwila, i pokazującą nogi prawie po kolana, jak bobo kilkoletnie.

Był zmięszany przez nią i wstydził się za nią.. więcej może niż ona sama.

Uważał to jako nieprzyzwoitość, poczytywał niemal za bezczelność, patrzeć na pannę dorosłą, tak skandalicznie ubraną.

Ballada Chopina rozwijała się dalej, grana istotnie ze smakiem i z uczuciem. Matylda miała uderzenie pewne i miękkie, bez afektacji, bez pretensji do artyzmu pedantycznego. Gdy skończyła Raoul miał za powinność, powtórzyć matce wypowiedziane przed chwilą komplimenta.

— Jakie pojęcie artystyczne!... jakie głębokie zrozumienie myśli autora! W rzeczy samej, córka pani jest skończoną artystką!...

Uśmiechnęła się pani de Gouix.

— Sąd nadto łaskawy... Była istotnie w najlepszej szkole, i ma wiele talentu... gdyby tylko nie była dotąd takim dzieciakiem, ta moja córunia!

Dzieciakiem! Hrabina na tym punkcie była widocznie nieubłaganą!

Usiadła teraz obok swojej guwernantki, Angielki, suchej jak tyka, z ustami wąskiemi i blademi, z twarzą zwiędłą przedwcześnie, w twardym i niewdzięcznym zawodzie nauczycielki. Obok niej, łodygi zeschniętej, Matylda odbijała rozkwitem w całej pełności życia. Dzieciak jakby na zadanie kłamu matki twierdzeniom, wydawał się niemal kobietą czarowną, różą roztaczającą z dumą swoje sto liści purpurowych, obok pogardzonego przez wszystkich ostu.

Baron zbliżył się do Matyldy krokiem wolnym, i przemówił tonem ojcowskim:

— Doskonale moje dziecię! Doskonale! nie trzeba zaniedbywać tak pięknego talentu.

Na bok się usunąwszy, odsłonił Raoula, który szedł za nim z miną znudzoną.

— Mój bratanek zresztą jest lepszym znawcą i potrafi grę twoją lepiej ocenić, niż taki jak ja profan.

To powiedziawszy wrócił do pani de Gouix, podczas gdy Raoul zmuszony zawiązywał rozmowę, która naprzód wydała mu się podwójną męczarnią. Zauważył, iż skoro stryj do niej przemówił, Mytylda zaczęła oburącz przyplaskiwać króciutkie spodniczki, i nogi schowała pod fotel. Ten napad nagły wstydliwości, nie przyszedł jej z pewnością na widok starego barona, który nosił ją na rękach, i był przez nią niemal za dziadunia uważany.

Zmięszało ją więc zbliżenie się Raoula. Była niezwykle wzruszoną. Pierś jej gwałtownie falowała, a spojrzenie, z wielkiego strachu, było dziwnie powłóczyste i zamglone. Uczuł i sam niepokój nerwowy, i niemógł się wstrzymać od rzucenia okiem w duże źwierciadło, wiszące za plecyma Matyldy.

—Eh!—pomyślał w duchu.—Nie jestem przecie ani łysym, ani tak przejrzałym, aby strachem przejmować serca młodych dziewcząt!

Po wypowiedzeniu pospolitej monety zdawkowej grzecznostek salonowych, chciał skorzystać ze szczegółów zdradzonych przed nim przez panią de Gouix.

— Jesteś pani elewką Marmontela... przynosisz zaszczyt jego metodzie.

Spłonęła szkarłatem, zawahała się, jakby nie mogła słów wykrztusić, wreszcie bąknęła głosem trochę chrypliwym:

— Oh! tak mało... Godzinę na tydzień... Nigdy ani minutki dłużej... Dzwon koniec oznajmia... Pan to pojmujesz?... trzeba, żeby dla wszystkich wystarczyło... Wstydzę się doprawdy, gdy mnie chcą na gwałt zrobić elewką Marmontela... Przez resztę dni miałyśmy tylko liche repetycje z zakonnicami...

— Ba! — machnął Raoul ręką — jesteś pani do głębi duszy muzykalną, to wszystko tłumaczy. Gdy ma się wiarę prawdziwą, chwila jedna wystarczy, aby działać cuda!...

Znowu poczerwieniała, odpowiadając z lubą prostotą:

— Nie chcę udawać lepszej niż jestem. Koncerta wszelkie nudzą mnie śmiertelnie. Rozumiem tylko muzykę w operze.

— Oh! — uśmiechnął się Raoul — nie miałaś pani jeszcze czasu rozlubować się w teatrze. Wszak dopiero trzy tygodnie jak wyszłaś z Sacré-Coeur?

Roześmiała się wesoło.

— To czyni oper dziewięć jak obszył! Mama ani jednego przedstawienia nie opuszcza. Słyszałam dwa razy „Polyenkta."

— Muzyka serjo — Raoul zauważył.

— Dwa razy „Roberta" „Fausta" „Faworitę" i balety ah! roskoszne balety!...

Mówiła z coraz większem ożywieniem nawet nóżki, tak wstydliwie pod fotelem schowane, zaczęły się wysuwać powoli. Raoul uśmiechnął się dobrodusznie; zaufanie nóżek wydało mu się symptomatem nader interesującym. Głos również stawał się miększym, tracił tony gardłowe i nieprzyjemne. Był na dobre zajęty tą przemianą. Na nieszczęście hrabina przerwała ich rozmowę.

— Ależ dziecię moje, przestań raz nudzić pana de Frézel!

Dziecię i dziecię! Co za upór niezwalczony w odmładzaniu na gwałt panny de Gouix! Co do znaczenia tej przerwy, wytłumaczył ją baron:

— Pani hrabina raczy nam zaśpiewać „Duszę ulatującą" Henriona!

Pod słówkiem nam, z naciskiem wymówionem, rozumiał baron kółko najściślejsze w salonie pani de Gouix: kilka matron poważnych i jeden oprócz Frézelów mężczyzna, który wyglądał prawie na księdza bez tonzury i sutanny, a nazywał się hrabia de Chenevert.

Matylda skryła się niby za parawan, za rząd pań staruszek, z nieodstępną jak cień od jej boku mis Ellen która idąc wydawała chrzęst głuchy szkieletu. Raoul stanął przy fortepianie, skupiwszy całą uwagę. Pani de Gouix interesowała go wielce. Mimo czterdziestki, trzymała się doskonale. Postawa była imponująca, ciało białe i jędrne jak marmur, świeży rumieniec przebijał się przez grubą warstwę pudru ryżowego. Umiała się ubierać wytwornie i nie za młodo. Suknia jasno fioletowa, aksamitna, robiła ją szczuplejszą. Baskina w kwadrat wycięta na piersiach, była ubrana pysznemi czarnemi koronkami, ametysty oprawne w brylanty dopełniały stroju poważnego a pięknego. Chód miała dotąd lekki, elegancki, płynący... ruch każdy pełen gracji.

W nią się wpatrując, Raoul przypominał sobie mimowoli zjawienie podczas wenty w klubie. Tam, co prawda, było mniej o jakich lat piętnaście... był kwiat w pełnym rozwoju, gdy tu widziało się owoc dojrzały, nęcący jeszcze puszkiem barwistym, który jednak jesień zwiastował... Było jednak podobieństwo niezaprzeczone!... Ta myśl go zmięszała... Najprzód wydało mu się nieprzyzwoitem, odszukiwać w rysach przyszłej teściowej, odbicie jakiejś piękności „anonim" dotąd nie uklasyfikowanej. Następnie popełniona nieprzyzwoitość dowodziła jasno, iż nie pozbył się bynajmniej fiksacji, umysł jego dotąd wyłącznie zajmującej. Drażniły go jeszcze i inne szczegóły. Stryjaszek patrzał tak jakoś dziwnie a tak wytrwale na panią de Gouix. Bratanek, który znał go na wylot, nie mógł pomylić się i nierozumieć znaczenia tych spojrzeń płomienistych, z pod oka rzucanych. Po co się tak chełpić i tak osławiać starą przyjaźń dla hrabiny? Wreszcie melodja sama, spiewana przez panią de Gouix, działała na niego niepokojąco. Rzecz szczególna! Była niby to w stylu religijnym, a jednak dziwnie namiętna i zmysły drażniąca.

Pani de Gouix należała do szkoły dawniejszej, pieszczotliwej aż do przesady. Cieniowała bez miary każdy frazes z osobna, podkreślając niejako miejsca wybitniejsze tonami drżącemi namiętnością i westchnieniami, od których się pierś gwałtownie podnosiła. Tym sposobem nic nie było stracone, każde słowo uderzało w Raoula, niby krople grube deszczu ulewnego. Ta mięszanina uczuć religijnych i uniesień czysto zmysłowej natury, odurzała go, jakby kilka butelek wypitego szampana.

„Dusza ulatująca" była historją zakonnicy, która uwolniona z więzów cielesnych, wraca do nieba i łączy się z chórami Serafinów, w uwielbianiu Pana nad Pany! Poezja była niesłychanie liryczną, nieuchwytną, podobną do kantyczek, śpiewanych w kościele, podczas pierwszej komunji. Raoul dziwił się tem bardziej ożywieniu pani de Gouix i głębokiemu wzruszeniu jej córki. Głos pani de Gouix zdawał się powoli w piersi zamierać, okiem błędnem goniła jakby jakieś zjawisko nadziemskie w przestrzeni. Matylda w matkę zapatrzona, pochłaniała ją wzrokiem płomienistym, a palce jej kurczowo załamane ściskały oburącz kolana. Byłoż to rozrzewnienie czy też rozstrój nerwowy, dość, że Matylda odznaczała się widocznym niepokojem, obok spokoju niewzruszonego zimnej i sztywnej Angielki, i drzemiących szczęśliwie innych słuchaczów...

Pani de Gouix urwała nagle, jakby złamana... Oczy były łzą zamglone, ręce wilgotne drżały jak w febrze. Raoul mógł się o tem przekonać, ściskając jej dłoń na podziękowanie.

— Nie ma dość słów uznania, droga pani! — wymówił gorąco. — Spiewałaś całą duszą!

Westchnieniem głębokiem odpowiedziała na kompliment. Po chwili szepnęła tonem świętej Teresy „Umierającej, iż umrzeć nie może!..."

— Gdy śpiewa się dla Boga jedynie, nie trzebaż starać się o oddanie Mu tego, co się w darze z łaski jego odebrało?

Raoul skłonił się w milczeniu i ruchem strategicznym znalazł się raptem obok Matyldy. Skoro spiew umilkł i jej niepokój ustawał. Ręce tylko drgały jeszcze cokolwiek, a nóżki maleńkie znowu pospieszyły ukryć się pod fotelem, skoro sukienka nadto krótka, do tego nie wystarczała.

— Lubisz pani spiewy kościelne?

Popatrzyła na niego z całą naiwnością i jakby trochę pytaniem zdziwiona.

— Zapewne... Wszak to była jeszcze nasza jedyna i najlepsza rozrywka w klasztorze.

Raoula spotkał zawód tym razem. Rzecz dziwna, to drugie wydanie pogadanki z panną de Gouix, było mniej serdeczne niż pierwsze. Może zdradził się niezręcznie w pytaniach i odpowiedziach, a sceptycyzm czystej krwi Paryżanina, odezwał się dźwiękiem fałszywym i spłoszył dzieweczkę, która tylko co wymknęła się z Sacré-Coeur.

Dość na tem, iż nóżki już się więcej w zaufaniu nie pokazały... czemś były widocznie zrażone.

Gdy znalazł się wraz z stryjem na ulicy, Raoul miał minę tak posępną, iż baron uznał za potrzebne wystąpić zaczepnie.

— I cóż zwycięzco, jesteś-że nawrócony?

Popatrzył się na stryja, na poły drwiąco, na poły serjo.

— Nawrócony do czego? Czy do kompozycji Chopina, melodji Henriona, lub edukacji wzorowej w Sacré-Coeur?...

— Oh! nie żądam tak wiele naraz! — odrzucił baron. — Nie będziesz nigdy pianistą ani spiewakiem... a najmniej młodą pensjonarką...

— Miałem się więc zachwycić rozmową, w której słów dobierają, jak perły w morzu, aby je na sznurek nanizać, w której mówią z greckim patosem o rzeczach najmniejszej wagi... lub może miałem się zbudować krótkiemi spodniczkami i wązkim staniczkiem, który o mało nie pęknie pod naciskiem biustu panny dorosłej?

— Aha! Już wiem, co ci na nos wsiadło! Trzeba ci było podać lat ośmnaście Matyldy w toalecie ekscentrycznej kokotki... Wstydź się chłopcze!... Zblazowany i bez kropli krwi w żyłach!... W twoim wieku, gdyby mi byli podali taką nowalijkę świeżą, niewinną, byłbym ją połknął nie pytając się o półmisek! Ale wam smakoszom bez podniebienia, trzeba zaraz bułki i noża, pieprzu i soli, strony wewnętrznej i zewnętrznej, delikatnego kremiku z wanilją, w złotej czarce, wysadzanej perłami i brylantami...

Wpadał w coraz większy zapał kaznodziejski, mimo iż bratanek postępował obok niego w milczeniu ponurem pogrążony.

— Czegoż chcesz od tej biednej dziewczyny? Że ją ubierają po dziecinnemu? Cóż na to poradzić! Jej matka takiem okiem na nią patrzy! Gdy widziało się małe bobo w pieluchach, jest całkiem naturalnem, iż złudzenie trwa bez końca...

— Takim sposobem, panna de Gouix, będzie nosiła majteczki i krótkie sukienki do lat trzydziestu!

— Eh! tak źle nie będzie!... Postarasz się suknie jej przydłużyć, skoro ją zaślubisz!

— Zapewne... gdybym ją zaślubił, nie pozwoliłbym przecie, żeby moja żona pokazywała podwiązki całemu Paryżowi! Ależ nie będzie miała wprawy w noszeniu długich sukien! Gotowa zaplątać się w powłokę.

Baron parsknął śmiechem.

— Co za dzikie urojenie!... Nie masz w naszej sferze tak małej dziewczynki, którąby za jeden ranek nie nauczyła się nosić z gracją długiej sukni i nie deptać po sążnistej powłoce... Czyż nie wiesz? jedno uderzenie koreczkiem od bucika i sprawa załatwiona! Mają to już we krwi... Ba! trzeba jednakże podać im sposobność, aby talent wrodzony mogły rozwinąć. Postaraj się o tę sposobność dla Matyldy... Zresztą, jeszcze raz ci powtarzam, nikt cię nie zmusza... Zastanów się... namyśl dostatecznie...

## IV.

### ZARĘCZYNY.

Namyśl się! Raoul bynajmniej się też nie spieszył! Nie miał wcale ochoty zaawanturować się na chybił trafił, na niebezpieczne, bystre i burzliwe częstokroć małżeńskie odmęty. Z wieczoru dzisiejszego odniósł wrażenia natury tak różnorodnej, iż potrzebywał czasu dłuższego, aby się w jego umyśle przetrawiły i ułożyły systematycznie. Źle się sprawę osądza, jeżeli brzmią w uszach zeznania zawikłane a sprzeczne. Zdawało mu się, iż matka zapatruje się na sprawę jego małżeństwa inaczej niż córka. Postanowił więc odłożyć sąd ostateczny do kilku tygodni, a tymczasem wstrzymał się od bywania w domu hrabiny de Gouix.

Nie było to zresztą zerwaniem stosunków, nie wyglądało nawet na odroczenie sprawy. Sezon paryski kipiał życiem zdwojonem, a wszędzie, prócz w klubie, Raoul spotykał panią de Gouix z córką. We wtorki na komedji francuzkiej, w inne dnie tygodnia w operze lub na balecie; hrabina była niezawodnie w swojej loży, wraz z „dużem dzieckiem“ (bo tak upierała się nazywać Matyldę) i tam w przestankach przyjmowała nader uprzejmie hołdy młodego barona. To „moje duże dziecię“ wymawiane z naciskiem przy każdej sposobności, dręczyło i było wstrętnem Raoulowi, na równi z krótkiemi i wąskiemi sukienkami. W loży nie biła tak w oczy śmieszna oszczędność kilku łokci materji, biedne, małe nóżki miały się gdzie schować, lepiej niż w salonie. Za to uczesanie po dziecinnemu à la Chinoise było nieznośne, w uszach tkwiły za całą ozdobę dwie masieńkie poziomeczki z korala bladoróżowego, na szyi wisiał prosty złoty krzyżyczek, pamiątka pierwszej komunji. Wszysko zdradzało chęć niezłomną pani de Gouix, uważania Matyldy za dziecko, póki by biedaczka nie znalazła sobie w Corbeille de noces dobrze skrojonych staników, spodniczek zakrywających kolana i fryzury nie tak dziwacznej. Dokąd będzie panną, zostanie dzieciakiem, gdyż jej rolą było odmładzać panią de Gouix.

Gdyby nie jej oczy, duże, czarne, o spojrzeniu po włóczystem i nie wyraz w ustach pełnych, karminowych, trochę dumny i wysoce arystokratyczny, który robił jej twarz nad wiek dojrzałą i czego strój najbardziej dziecinny zatrzeć nie mógł, matka kazałaby jej się była dotąd bawić lalkami. Ten to właśnie wzrok

dziwnie głęboki, bądź łzą zamglony, bądź zachwytem namiętnym płonący, prześladował Raoula wszędzie i nie pozwalał usiedzieć mu spokojnie na fotelu w amfiteatrze.

Mimo żalu, który żywił w sercu dla pani de Gouix, i pewności, iż uczuje do głębi, jakby mu szpilkę w żywe ciało wbijała, gdy wypowie swój frazes sakramentalny: „moje duże dziecko“, niecierpliwił się czas jakiś, trzymał oburącz fotelu, wreszcie podrzucony niby stosem galwanicznym, zrywał się na równe nogi, mijał salonik, w którym zwykle mis Ellen, nieczuła na wszelkie marności światowe, siedziała zajęta czytaniem jakiejś ciężko naukowej książki angielskiej, wchodził do loży, kłaniał się nisko hrabinie, a ta z uśmiechem zachęcającym, końcem wachlarza, wskazywała mu krzesło wolne obok siebie, pytała się o stryja i rozpoczynała pogadankę czysto salonową o wszystkiem... a właściwie o niczem.

Papląc o tem i owem, hrabina nie zapominała o „swojem dużem dziecku“ ukochanem! Oh! jak te słowa matki drażniły okropnie Matyldę, jak usta jej drgały kurczowo i odymały się zadąsane! Raoul nie widział małych nóżek, odgadywał jednak z jaką złością tupoczą po miękkim dywanie. Z razu myśl ta go bawiła, wreszcie uciekał nie mniej od Matyldy zirytowany. W akcie następnym odczuwał kolejno dreszcz i gorączkę, a ta walka wewnętrzna kończyła się zwykle opuszczeniem teatru przed końcem sztuki.

Bądź jak bądź Raoul nie mógł utaić sam przed sobą, iż nie same studja nad matką i córką de Gouix, prowadzą go wszędzie, gdzie gromadzi się świat modny.

Nie myślał więcej szukać owego zjawiska nocnego podczas wenty; oh! co nie to nie! gdyż był najmocniej przekonany, iż należało do jaskółek odlatujących. Jeżeli atoli wyrzekł się gonitwy w prostym kierunku, byłby nie mniej wielbił przypadek, który by mu dopomógł bez jego przyczynienia się w zetknięciu z nieznajomą. Mimo całej usilności, aby zjawisko wymazać z pamięci, prześladowało go ono na każdym kroku, wywołując tęsknotę, a czasem nawet budząc w nim wyrzut sumienia.

W ten sposób miesiąc upłynął. Stryj pozostał neutralnym. Wreszcie w końcu kwietnia, pewnego wieczora, zapytał nagle bratanka:

— Czyś się już namyślił?

Raoul poczerwieniał.

— Ależ stryjaszku...

— Dobrze... Trzeba ci jeszcze kilka dni, aby odpowiedź przygotować... Zaczekam trochę, trzeba jednak, żebyś się tak lub owak zdecydował... Wtedy przyjdź kiedykolwiek na herbatę do pani de Gouix... Jesteś względem niej uprzedzony i źle ją osądzasz... To kobieta nadzwyczaj inteligentna... w lot chwyta i rozumie nawet pół-słówka... Tylko nie pisz, zmiłuj się! to gorzej niż występek, gdy kto z naszego świata śmiesznością się okrywa.

W tydzień później Raoul wygotował wreszcie odpowiedź, i sam, jak mu to stryj polecił, odnosił ją do pałacyku hrabiny. Był zdecydowanym dać do zrozumienia, iż nie czuje się jeszcze dojrzałym do stanu małżeńskiego, iż lęka się i cofa przed ciężką odpowiedzialnością zawiązania świata nie tylko sobie, ale i drugiej niewinnej istocie. Nie miał odwagi wziąć się do wypełnienia, a raczej przerobienia z gruntu, edukacji tak skomplikowanej, jaką dotąd odbierała Matylda. Układał w głowie grzeczne wykręty i tłumaczenia, idąc piechotą, w piękny, cichy i wonny wieczór wiosenny, na herbatę do hrabiny. W przedpokoju kamerdyner zdejmując z niego okrywkę, wskazał drzwi od wielkiego salonu i oznajmił:

— Dziś nie ma nikogo, prócz starszego pana barona.

Raoul uśmiechnął się drwiąco. Biedny stryjaszek gotów się rozpłakać, gdy się dowie, że z małżeństwa projektowanego nic nie będzie!

Salon był próżniuteńki.

Kamerdyner oddalił się, uważając Raoula prawie za domowego.

— Poszukam ich — pomyślał Raoul. — Muszą być w cieplarni.

Cieplarnia zajmowała prawe skrzydło pałacu i tworzyła terasę wychodzącą na ogród dość obszerny. Raoul szedł powoli, roskoszując się wonią cudowną hjacentów i podziwiając barwy niezrównane azalji kwitnących. Nagle stanął jak wryty.

W głębi, pod palmami, które tworzyły rodzaj baldachimu, siedzieli na małej kanapce, baron i pani de Gouix, dłoń w dłoni, oko w oko, a nawet baron całował namiętnie ręce hrabiny, pulchne i po łokieć obnażone, czego bynajmniej bronić mu nie myślano...

Raoul uczuł dreszcz w całem ciele, gdy cicho na palcach wymykał się niepostrzeżenie z cieplarni. Nawet dla czystej krwi Paryżanina, trochę przeżytego i ostrzelanego z przypadeczkami rozmaitemi, które zdarzają się w sferach najwyższych, była to niespodzianka nadto drastycznej natury. Oparł się o mur korytarza, czując zawrót w głowie. Nie mógł myśli pozbierać. Wprawdzie to, co zobaczył, nie było dla niego nowością we właściwem tego słowa znaczeniu. Wiedział od dawna razem z całym światem, o czułych węzłach przyjaźni, łączących panią de Gouix z baronem de Frézel, nie wzdrygał się nawet prześladować nią żartobliwie stryjaszka.

Nie spodziewał się jednak, aby ten wulkan nie wygasł dotąd, a gdy spostrzegał czasem w oczach pani de Gouix, głęboko osadzonych i czarną obwódką podkrojonych, płomień namiętny, przypisywał ten wzrok ognisty żywemu usposobieniu a nie temperamentowi i zmysłowości. Pomylił się tym razem!

Hrabina w latach czterdziestu, a baron przeszło w pięćdziesięciu, dodawali długie post scriptum do romansu, zaczętego prawdopodobnie jeszcze za życia pana de Gouix, który lat kilka ciężko chorował.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.